NR 24

dopadłszy go, zerwał się na równe nogi i zawołał wesoło, z rozjaśnioną twarzą:

— A to mi się udało! Obszedłem całą Byczynę na kolanach, jak...

Lecz nagle urwał; nie widząc pana Adama, rzucił w około ze zdziwieniem oczyma i spytał:

— O, a gdzie to jegomość pan rotmistrz? Żali do obozu odjechał?

— Gdzie zaś, wasza miłość! Przykrzyło się panu rotmistrzowi czekać, więc poszedł pana pułkownika szukać... Poczołgał się tą samą drogą.

Hołubek klasnął palcami.

— Masz tobie! A to dopiero robota! — zawołał niespokojnie. — Spostrzegą go jeszcze i gotowi ustrzelić lub porwać. Dawno ruszył?

— Nie ma jeszcze pół godziny — odparł żołnierz.

— Hm! Trzeba mi chyba teraz iść szukać znowu pana rotmistrza! Ale skoroby pierw niż ja wrócił, niechże już nie chodzi aby za mną... Powiedźcie panu rotmistrzowi, iżem kazał bardzo prosić, aby tu koniecznie, a nie gdzieindziej na mnie czekał.

Domawiając tych słów, spojrzał Gabryel ku miastu i na widok, jaki ujrzał w tej chwili, zadrzał z obawy i niepokoju; w dali, od murów twierdzy, biegł co sił pan Adam, a za nim goniły kilkunastu nieprzyjacielskich żołnierzy, którzy teraz zaczęli posyłać za uchodzącym strzały i kule. Gabryel jednym rzutem oka objąwszy straszne niebezpieczeństwo grożące Adamowi, wskoczył na konia, krzyknąwszy na swoich towarzyszów:

— Na koń! Za mną co tchu w piersiach! — pognał jak wicher naprzeciw uciekającemu i goniącym.

Cały podjazd leciał jak szalony naprzód, co widząc Austryacy, lubo ich osłaniały działa stojące na wałach, wstrzymali się jednak nieco, lecz za to tem natarczywiej strzelali. Żołnierze Gabryela odpowiedzieli także ogniem, lecz w chwili, kiedy wódz ich lecący na czele, dopadał już pana Adama, ten ręce rozkrzyżował, zachwiał się, przechylił w tył głowę i krzyknąwszy:

— Jezus! Marya! — runął na ziemię.

Młody górnik wydał okrzyk niewypowiedzianego bólu i gniewu zarazem; nie zważając już na nie, jednym skokiem był przy ranionym szwagrze, zeskoczył z konia, a pochyliwszy się nad Adamem, wziął go pod ramiona i dźwignął z ziemi; następnie oparłszy mu głowę na swych piersiach, wyrwał strzałę z ramienia rotmistrza i buchającą krew tamował, nie dbając, że kule padały dokoła i strzały swiszczały mu w uszach. Tymczasem nadbiegli towarzysze i podczas gdy jedni pomagali ratować rannego, drudzy tak prażyli Austryaków ogniem muszkietowym, że ci zaczęli się wolno cofać, nie przestając jednak odstrzeliwać się. Gabryel zatamowawszy krew i zawiązawszy jako tako ranę, dźwigał właśnie rotmistrza z dwoma żołnierzami na konia, aby czemprędzej ujść z pod ognia, gdy jeden z zawracających już Austryaków obrócił, wymierzył, wypalił i kula świszcząc, złowrogo uderzyła w piersi Hołubka. Nie jęknął nawet, tylko się za serce uchwyciwszy, padł w znak na ziemię. Z piersi żołnierzy wydarł się okrzyk rozpaczy i wściekłości, na który odpowiedziały niemniej gniewne i rozpaczliwe głosy kilkudziesięciu jeźdźców pędzących w atak od strony obozu, gdzie usłyszano strzały i wysłano ich na pomoc. Podczas gdy jedni z żołnierzy zabrali i unieśli szybko obydwóch rannych rycerzy, drudzy rzucili się na uchodzących Austryaków, dopędzili ich i wycięli do nogi na oczach stojących na wałach straży; sypnęła się ku nim załoga, lecz oni nie czekając, popędzili z powrotem do swoich.

Zaniepokojony strzałami, wyszedł pan Zamojski z namiotu, gdzie właśnie odbyła się była narada, gdy żałosny orszak z broczącym krwią młodym bohaterem, zbliżył się ku niemu, hetman poznał ludzi Hołubka, którzy dziś rano wychodzili ze swym wodzem z obozu, a nie widząc Gabryela pomiędzy nimi, czuł jakieś złe przeczucie w sercu. Wtem dojrzał dwóch rannych, domyślił się nieszczęścia, więc załamując ręce, wykrzyknął:

— Na Boga! Co się stało?

— Nieszczęście, jaśnie wielmożny hetmanie! — odparł stary żołnierz. — Obaj dowódzcy ranni.

Zamojski nie tracąc czasu na wypytywanie, słał czemprędzej po medyków i sam nie odstępował rannych, dopóki nie zostali opatrzeni, a lekarze, lubo wstrząsali głowami, nie zapewnili, że można jeszcze mieć nadzieję utrzymania chorych przy życiu. Teraz dopiero rozkazał kanclerz opowiedzieć sobie wszystkie szczegóły wypadku, poleciwszy następnie, aby skoro który z rannych odzyskał przytomność, przysłano po niego.

Rana pana Adama nie była ciężka, dostał przecież febry i gorączki; jednakże po kilkagodzinnym, spokojnym śnie, obudził się zupełnie przytomny. Natomiast Hołubek leżał cały dzień i wieczór, jak nieżywy, dopiero w nocy wróciła mu przytomność. Powiódł w około oczyma i cichym głosem spytał o pana Adama; gdy mu powiedziano, że będzie zdrów, twarz chorego się rozjaśniła i westchnienie ulgi wydobyło się z jego piersi. Następnie jął pytać o hetmana, ale ten nadszedł właśnie i pytając, jak się czuje, z iście ojcowską miłością uścisnął Gabryela, którego oczy uśmiechały się do uwielbianego wodza.

— Nie czuję żadnej dolegliwości — odparł młodzieniec — ale mam jednę rzecz na sercu... o załatwienie której więcej mi chodzi, niż o życie samo... Radbym dobrotliwemu ojcu mojemu serce otworzył... jeno, że to teraz noc, a wasza miłość zmęczona... a znowu boję się.

— O mój poczciwy Gabryelu, nie myśl ty wcale o mojem zmęczeniu — przerwał hetman z dobrocią. — Dla ciebie ja mam zawsze czas... Zresztą szturmu dziś nie będzie, bo Maksymilian okazuje chęć do układów; ale nie o to teraz chodzi!... Choć całą noc jestem gotów cię słuchać, kochany synu, mówże tedy co ci to na sercu leży.

— Najpierw powiem waszej miłości, com widział około twierdzy, bom jeszcze relacyi nie zdał z objazdu... A to może ostatnia przysługa dla matki Ojczyzny...

— Nie mów tak! — przerwał znowu pan Zamojski. — Niejednemu jeszcze wrogowi naszej Ojczyzny dasz się we znaki, zobaczysz!

Następnie poprosił hetman obecnych, aby opuścili komnatę, co gdy się wypełniło, zamknął drzwi i siadł przy łóżku chorego.

Tajemna rozmowa trwała długo, bo osłabiony młodzieniec mówił z wielką trudnością, a kanclerz jeszcze mu się kazał oszczędzać, aby zaś sobie nie zaszkodził. Gdy nareszcie Zamojski pokój Gabryela opuścił, głębokie zamyślenie i wzruszenie malowało się na szlachetnem obliczu wielkiego męża; udał się spiesznie wprost do pana Adama, z którym rozmawiał także czas jakiś, poczem siadł zaraz do pisania listów. W jakiś czas później, dwóch gońców, na najlepszych koniach z hetmańskiej stajni wylatywało z obozu, jeden wiózł list do Olkusza, do Wisłocka drugi.

Tymczasem w Wisłocku w poczerniałym dworze pana Wojciecha, od czasu koronacyi Zygmunta i świetnych powodzeń Zamojskiego, panowało zadowolenie i cicha radość. Stary rycerz wyzdrowiał zupełnie, odmłodniał nawet i pełen był dobrej myśli. Nie wątpił on, że wielki hetman pokona Maksymiliana, a wtedy zapanuje pokój w kraju, miła Ojczyzna swobodnie odetchnie, prawi zaś obywatele spełniwszy obowiązek, gdy publiczne sprawy nie będą ich potrzebowały, mogą pomyśleć o własnem szczęściu. Wprawdzie wielki król Stefan, który przyobiecał panu Wojciechowi nagrodzić syna za jego własne i ojca zasługi, już nie żył, ale przecie był drugi zacny król na tronie, a cała Polska znała życie starego rycerza i dla nikogo nie było tajemnicą, że pan Wojciech dla ziemi rodzinnej poświęcił wszystko; nie było więc potrzeba obawiać się zapomnienia lub niesprawiedliwości. Z radością myślał teraz coraz częściej, jak młodego rotmistrza, obdarzonego dobrze zasłużonym urzędem, połączy zaraz po wojnie, z niezmiernie

bogatą dziewicą, której dom, rzymskich czasów sięgający, spokrewniony jest z najznakomitszemi w Koronie i Litwie rodzinami.

Oprócz tych nadziei, o których pan Wojciech głośno mówił, żywił on w głębi serca słodkie marzenie, niezbyt dawno powzięte, a tyczące się Bożeny i pana Marka Siekierzyńskiego. Urodziwy ten panicz przypadł niewymownie do serca starcowi. Pod wielu względami przewyższał on jego ukochanego syna: Adam, choć znakomity rycerz, był więcej żołnierzem uganiającym się po dzikich polach, więc trochę prostakiem; pan Marek, zaś lubo mężny i waleczny, choć i jemu nie obcem było rycerskie rzemiosło, był przy tem prawdziwem panięciem, ze światową ogładą i polorem, umiejącym się obracać pomiędzy senatorami, a nawet na królewskim dworze. A nietylko wykwintnem obejściem, ale nauką i wiedzą przewyższał rotmistrza; tak samo wspaniałą postacią i klasycznie piękną twarzą. Co więcej oprócz tych zewnętrznych przymiotów, miał młody panicz serce szlachetne i duszę prawą, brakło mu jeno może wyrobionego charakteru, ale za to wysokim rodem i majątkiem dorównywał prawie najwyższym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Boże Narodzenie w Anglii.

Obchód uroczystości Bożego Narodzenia w Anglii, nie posiada wcale charakteru religijnego; jest to raczej jedna z wesołych chwil karnawału, czas zabaw, uciechy, doroczna uroczystość, coś w rodzaju ostatniego wtorku zapustnego.

Pierwszy akt tych uroczystości rozpoczyna w Londynie około połowy grudnia konkurs karmnych zwierząt. Ze wszystkich pastwisk połączonego królestwa przybywają partyami olbrzymie woły, niezwykle wielkie barany i opasłe wieprze. Wszystko to zajmuje miejsca w budynkach na ten cel urządzonych, i przez ciąg całego tygodnia widzi przesuwający się przed sobą cały Londyn bogaty, przemysłowy i ludowy.

Oglądają, ważą i rozprawiają; poczem zwycięzcy konkursowi, zyskawszy odznaczenie, przechodzą do bydłobójni, a w trzy dni później, uwieńczone owe ofiary, z wiszącemi na dół głowami, wyprutemi wnętrznościami, pośród wieńców z róż papierowych i zielonych jodłowych gałęzi, widzimy w jatce rzeźniczej wystawione na sprzedaż.

U jednego z pierwszorzędnych dostarczycieli mięsiwa, w wystawowem oknie figuruje grzbiet wołu premiowanego, przeznaczony na upieczenie w całości przy ogniu wielkiej kuchni pałacu królewskiego, i ukazanie się następnie pod złotą pokrywą na królewskim stole.

Komin umyślnie ku upieczeniu tego wołu zbudowany i rożen, obracany mechanicznym ruchem, zachowywane bywają przez rok cały w podziemiach królewskiego zamku. Gdyby wypadkiem królowa nieobecną była na Boże Narodzenie w Londynie, posyłają jej pieczeń do miejsca rezydencyi, gdzie narodowy przysmak nad przysmaki spożywa na zimno. Ukazanie się królewskiego wołu w szlachtuzie jest sygnałem, na który odpowiadają jednomyślnie kupcy korzenni, oraz mniejsi i więksi właściciele sklepów z trunkami. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, posępny Londyn zmienia się nagle w wielki targ wesoły; w którąkolwiek zwrócisz się stronę, widzisz porozwieszane szynki, kiszki, kiełbasy, stosy świeżej i solonej słoniny, piramidy drobiu, wieńce zwierzyny, kupy ryb, flaszki różnej formy i wielkości; beczki piwa i wina, wytoczone na wszystkie chodniki miasta. Nie postąpisz kroku bez otarcia się o pierś utuczonego indyka lub zabłąkania się między olbrzymiemi fasami masła.

Na ulicach widać jedynie ludzi objuczonych koszami z żywnością i z napojami; cudzoziemcowi patrzącemu na tę krętaninę zdawać się może, iż Londynowi chodzi o zaopatrzenie się na czas długoletniego oblężenia. W tem wszystkiem jednak jest i przezorność ekonomiczna, ponieważ sklepy przez trzy dni Bożego Narodzenia ściśle będą zamknięte, a właśnie w tych dniach anglicy najwięcej jadają.

Uboga ludność angielska raz na rok dostatecznie głód swój zaspokaja t. j. w Boże Narodzenie. Uroczystość ta daje sposobność do czynienia miłosierdzia, a leży w obyczajach i niejako w prawie rodzin Albionu, żeby w ciągu tych dni świątecznych każdy człowiek był sytym.

Miłosierdzie, tak często głuche na skargi nędzarzy, kruszy w tej porze serca bogaczy, a niekiedy wiedzie ich do godnych uwielbienia czynów. Taką jest naprzykład ofiara pewnego angielskiego dobroczyńcy, który rok rocznie przysyła jednemu z londyńskich dzienników, na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, 9,000 nowiuteńkich sztuk sześćdziesięcio-centymowych, dla rozdania pomiędzy sieroty, w dobroczynnych zakładach Londynu. Wiele pań z wyższego towarzystwa posyła także sierotom zabawki, rozdziela po szpitalach lalki i kwiaty, zastawia stoły dla malców zgłodniałych, ubrawszy ich wprzódy od stóp do głowy w nowe odzienie.

Zdarzyło mi się widzieć w Seven-Dials, zakątku najobrzydliwszych występków i nędzy Londynu, obiad w uroczystość Bożego Narodzenia, zastawiony dla ośmdziesięciu złodziei z profesyi, zaproszonych przez jakiegoś dobroczyńcę nieznanego. Ofiarodawca zapragnął, aby i ci odepchnięci mieli także swe święto; spożyli tę ofiarę dobroczyńcy nieznajomego, ale niestety ziewać zaczęli bez ceremonii przy końcu przemowy, skłaniającej ich do wejścia na uczciwą drogę.

Ponieważ uroczystość Bożego Narodzenia polega głównie na jedzeniu, więc obfitość potraw jest ogromna. Głównemi jednak potrawami są: befsztyk, indyk pieczony i jeszcze jaka potrawa zowiąca się plum-pudding; przy jedzeniu pochłania się wielką ilość piwa angielskiego, porteru, hiszpańskiego wina i wódki. Mięszanina, przyprowadzająca do rozpaczy człowieka wstrzemięźliwego, anglikowi nic nie szkodzi.

Ach ten plum-pudding! Czy wiecie, gosposie, na czem polega jego przyrządzenie? Na łoju... łoju moczonym, marynowanym w mocnej wódce przez lat dziewięć... przez dziewięć lat, ani mniej ani więcej! Każda z szanujących się angielskich gospodyń przyrządza w zimie od piętnastu do dwudziestu funtów plum-puddingu, kładzie w naczynie napełnione rumem i przyciska deską, aby tym sposobem w całość wsiąkał spirytus; operacya ta kończy się za dziewiątym powrotem świąt Bożego Narodzenia. Robienie plum-puddingu jest wielką uroczystością dla całej rodziny, wszyscy członkowie domu mówią o tem z głębokiem wzruszeniem.

Najubożsi nawet mieszkańcy Wielkiej Brytanii pragną mieć udział w uroczystości Bożego Narodzenia, i od Września począwszy oszczędzają się biedacy na każdym kęsie chleba, marząc o świętach. U wszystkich kupców korzennych znajduje się czasowa kasa oszczędności, w celu ułatwienia zakupów na święta. Składający do tych kas po sześć pensów tygodniowo, ma prawo otrzymać wołową pieczeń lub gęś, i kilka butelek wódki, nazwanej »whiski«; jest to wszystko, co potrzeba na ucztę ubogich.

W miarę zbliżania się uroczystości, przygotowania w domach coraz są energiczniejsze. Czyszczą się meble, myją okna, zmieniają firanki, malują przedsionki na kolor kamienny a kominki w pokojach na czarno, przywraca się miedzianym naczyniom połysk lustrzany. Dzwonek u drzwi dźwięczy od rana do nocy, na tydzień bowiem przed Bożem Narodzeniem młode angielki wysyłają już bilety z życzeniami świąt swoim przyjaciołkom. Na ostatnią chwilę pozostaje tylko gałązkami choiny przystroić zwierciadła, świeczniki, obrazy i nad-

drzwia; szczególniej te ostatnie. Przywilej pozwala wszystkim kawalerom całować panny spotkane u wejścia tak zagajonego; zwyczaj ten nie przestrasza skromnych angielek, skoro ze starannością nadzwyczajną zmieniają przedsienia w majowe altany.

Wszystko już ukończono nareszcie, i oto nadeszła wigilia Bożego Narodzenia, która w oczekiwaniu jutrzejszego święta przechodzi cicho, jak zwykłe codzienne wieczory; za to uroczystość jutrzejsza znajdzie każdego na stanowisku. Do pełności szczęścia potrzeba jeszcze tylko, aby w pierwszy dzień śnieg padał; wtedy Boże Narodzenie nazywają właściwą porą.

Przed północą wigilijną kółko rodzinne, zebrawszy się w salonie u kominkowego ogniska, słucha rozlegających się w oddaleniu pieśni kolędowych, coś na kształt naszych kolend, śpiewanych na ulicach chórem głosów czystych i dźwięcznych. Wtedy to najbardziej nawet znękany pracą robotnik oddaje się tkliwym marzeniom. Niestety, już nazajutrz następuje koniec wszystkiego.

Rankiem, niektórzy idą na nabożeństwo, inni w domu czytają Biblią; z uderzeniem godziny południowej zamykają się wejścia domów, ulice tak pustoszeją, jak gdyby cała ludność gdzieś ulotniła się w powietrze.

Z poza drzwi jednak, z poza zasłon i okiennic, pozamykanych dlatego, aby pokój wypełnić mrokiem wieczornym, słychać na pustych ulicach szczęk widelców i łyżek, brzęk szklanek i głosy ucztujących. Słychać brzęk kilku milionów nakryć i głosy tyluż ludzi.

Zaczekajmy chwilę, a ten szmer przytłumiony stanie się głośną wrzawą; fortepiany, śmiechy, śpiewy, tańce, pieśni swawolne i religijne, pomieszawszy się z sobą, zagrzmią z siłą uraganu młodości.

Nagle, jedno z okien otwiera się, bo trzeba powietrza głowom, z których kurzy się po wypiciu sporej ilości trunków. Nadchodzi noc, a wrzawa trwa z całą siłą. Na całej długości dotąd pustych ulic, oświetlonych płomieniami gazu, jak pochodniami pogrzebowemi, zabawa przybiera hulaszcze rozmiary. Ciszę zalegającą domy zamożnych mieszkańców, strzeżone przez upudrowanych lokai, przerywa tumult płynący z dzielnic przez ubogą ludność zamieszkałych. Podchmieleni i nadobre upojeni mężczyźni, kobiety i dzieci tarzają się po ulicach. Zarzućmy zasłonę na dalszą zabawę, dość powiedzieć, że wieczorem w święto Bożego Narodzenia spotkałem kilkanaście ludzkich postaci na pół umarłych z pijaństwa; leżały one na schodach i w przysionkach domów.

Święta Bożego Narodzenia w Londynie obfitują także w popisy boksowania i kradzieże kieszonkowe, a obfitują do tego stopnia, że dzień 25 Grudnia otrzymał charakterystyczną nazwę dzień pugilaresów. Policya i trybunały przez kilka następnych tygodni mają zajęcie z wymierzaniem wyroków, skazujących na grzywny i więzienie.

Gdy się święto skończyło wreszcie, gdy już pootwierano tawerny, pracownicy we władzach prywatnych i publicznych, w bankach i domach handlowych, także w warsztatach dzień następny jeszcze świętują. W wieczór tego dnia ostatniego otwierają tanie teatra, na którą biegną tłumy poraz pierwszy i ostatni w roku.

# CESARZ CHIŃSKI.

UCIESZNE OPOWIADANIE.

(Dokończenie.)

Oranow spoglądał najpierw na cara z pewnem podziwieniem, a następnie głośnym wybuchnął śmiechem.

— Pan carem rosyjskim? Komu chcesz to Pan wmówić? Oszczędź Pan sobie takich figli, gdyż car rosyjski nie

pozwala w takich sprawach żartować ze siebie.

— Powtarzam Panu, że jestem Aleksandrem I, carem Rosyi.

Oficer skłonił się pogardliwie.

— Pozwól mi Pan zatem, że i ja zdradzę teraz moje rzeczywiste dostojeństwo. Jestem cesarzem Chin.

— Pan cesarzem chińskim? Co prawda nie bardzo w to wierzę, abyś Pan nim był, — odpowiedział wesoło Aleksander.

— Być może, być może, — odpowiedział syn państwa niebieskiego władzcy wszech Rosyi; — toć i ja nie bardzo wierzę w tożsamość osoby Najjaśniejszego Pana!

— No, dobrze, niechże tak pozostanie, — zawołał Aleksander rozweselony w najwyższym stopniu. — Jedno zapytanie poważę się jeszcze stawić: dla czego to cesarz chiński chodzi bez warkocza?

— A dla czego to car rosyjski wykracza przeciwko zwyczajowi dworskiemu i pieszo i samotnie przechadza się po ulicach Wiednia? — śmiejąc się odrzekł mniemany cesarz chiński.

— Ponieważ mi



MĘCZEŃSTWO ŚW. SZCZEPANA, PIERWSZEGO MĘCZENNIKA.



POGRZEB ŚW. SZCZEPANA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 384.)

to przyjemność sprawia.

— Z takiego samego powodu pozbyłem się i ja mego tradycyjnego warkocza, ażeby w Europie o to nie być nagabywanym i módz się swobodnie poruszać: A teraz proponuję Panu, abyśmy zapili znajomość naszą w tak dziwnych okolicznościach zawartą flaszką dobrego winka.

— Chętnie się zastósuję do życzenia Pańskiego, — odpowiedział z serdecznością car, — ale w jakim języku będziemy wymieniali nasze dyplomatyczne myśli, ażeby zdala trzymać niepowołanych słuchaczy. Czy Pan rozmawia może po niemiecku?

— Nie, a Pan chińskiego języka także pewnie nie zna?

— Język państwa niebieskiego jest mi najzupełniej nieznany.

— Jakiż więc język obierzemy? Może francuski? — pytał mniemany cesarz chiński.

— Pozostańmy lepiej przy naszym rosyjskim, — rozporządził nareszcie z humorem car. — Ale wybacz Pan na chwilę. Widzę tam przechodzącego Pana pewnego, z którym mnie wiąże serdeczna przyjaźń.

Po tych słowach wybiegł car rosyjski naprzeciw królowi pruskiemu, który przechadzał się również samotnie. Powitał go jak najserdeczniej, opowiedział mu przygodę swą z oficerem rosyjskim a następnie wziąwszy go pod ramię, powrócił do lokalu.

— Szczęśliwy przypadek, — zagadnął car Oranowa, wyczekującego przedstawienia się nowego uczestnika. — Możesz Pan przy jednej sposobności zawrzeć przyjaźń osobistą z królem pruskim. Najjaśniejszy Panie, pozwalam sobie przedstawić Panu pewnego młodego oficera marynarki.

— Niech i tak będzie, — śmiał się Oranow.

— To nazywam prawdziwie szczęśliwym zwrotem wiatru, który na publicznej drodze sprowadza ku sobie trzy głowy ukoronowane. Pan carem rosyjskim, pan królem pruskim a ja — cesarzem chińskim — cóż może Wiedeń wymagać więcej? Trzech najpotężniejszych obecnie monarchów świata gości w swych murach. Czyście moi panowie tego samego zapatrywania?

Dwaj rzeczywiści monarchowie potwierdzili zgodność zapatrywań ruchem głowy.

— Zresztą — gwarzył Oranow dalej, kłaniając się głęboko Fryderykowi Wilhelmowi, — cieszę się niezmiernie, że widzę przed sobą potomka sławnego Fryderyka Wielkiego, którego bohaterskie czyny do dziś jeszcze napełniają mnie najwyższem uwielbieniem. I dla pańskich przodków, Najjaśniejszy carze, czuję podziw wielki, zwłaszcza do Piotra Wielkiego, który pierwszy zrobił naród rosyjski potężnym i założył podwaliny jego dzisiajszej potęgi. Nie myślcie jednak Panowie, ażebym ja był ogołocony z sławnych przodków. I moja rodzina może się poszczycić cesarzami, którzy Chiny wsławili szeroko i daleko. Jednym z takich jest naprzykład mój dziadek, który w bitwie morskiej pod Kumpamku wysadził się z swym okrętem w powietrze, ażeby uniknąć niewoli tureckiej.

— Pan mnie rzeczywiście zaciekawiasz, — rzekł car. — Nigdym jeszcze nie słyszał o tak bohaterskim końcu Pańskiego dziadka.

— Być może, — odpowiedział marynarz. — Historya nic o tem nie wzmiankuje. Chętnie Panom opowiem bliższe szczegóły bohaterskiego końca mego dziadka, jeśli to Panów będzie zajmowało.

Car prosił o to.

W tej chwili jednak przechodzili obok pewnej oberzy i Oranow przypomniał teraz carowi przyrzeczenie co do zapicia znajomości. Wymawianie się nic nie pomogło, wszyscy musieli pójść do lokalu, gdzie Oranow chciał opowiedzieć o swym wielkim dziadku.

W pokoju nie było jeszcze nikogo. Gospodarz pospieszył do stołu i z wielką uniżonością powitał przybyłych.

— Flaszkę najlepszego wina, jakie Pan ma w sklepie, — zawołał mniemany cesarz Chin.

Wino przyniesiono, smakowało wszystkim wybornie. Na dany przez cara znak usunął się gospodarz i trójka bawiła się znowu w najlepsze.

— Piję na Twoje zdrowie, bracie, — rzekł Fryderyk III do cesarza rosyjskiego i trącił z nim.

Brakują jeno armaty stółecznych miast naszych, ażeby temu toastowi nadać prawdziwe namaszczenie, — odpowiedział żartobliwie Aleksander.

— Temu możnaby zaradzić, — wtrącił chiński cesarz i wyciągnął z kieszeni mały pistolet. — Chociaż to jest tylko broń najmniejszego kalibru, a huku nie będzie zbytnio słychać, mogę jednak zapewnić Panów, że strzał oddam z serca szczerego, a tu z pewnością zależy najwięcej na dobrej woli.

Po tych słowach, pociągnął za kurek. Rozległ się huk, kula utkwiła w suficie. Oczywiście, że zrobiło się nieco zamięszania. Monarchowie zeskoczyli z swych stołków a gospodarz wpadł do pokoju jak strzała, będąc przekonany, że podczas jego nieobecności popełniono morderstwo lub samobójstwo. Zobaczywszy wszystkich trzech przy życiu, nie mógł się nadziwić i potrząsał głową.

— Uspokój się Pan, — powiedział mu Oranow i włożył pistolet napowrót do kieszeni. — Był to tylko strzał radości, który wypaliłem na cześć tych dwóch Panów.

Monarchowie nie wzięli tego za złe młodemu zapaleńcowi, ponieważ upatrywali w tym akcie najlepsze jego chęci, ale nie mieli już w lokalu spokoju. Na odchodnem zamierzali zapłacić za wino. Oranow jednak na to nie przystał. Spierali się tak przez chwilę. Nareszcie Oranow wyjechał z takim argumentem:

— Uwzględnijcie moi Panowie, że to ja miałem zaszczyt Was poprosić na wino. Ubliżałoby więc tradycyi mego dostojeństwa, gdybym ja, cesarz chiński, w tak ohydny sposób naruszył prawa gościnności w obec dwóch tak potężnych mocarzy.

Opuszczono lokal i wśród najswobodniejszej rozmowy zbliżono się do cesarskiego zamku. Tu witano obu monarchów z przynależnymi im honorami. Teraz dopiero zaczęły łuski spadać z oczu młodemu oficerowi. Od razu stracił swój różowy humor na myśl, że obaj ci oficerowie byli prawdopodobnie jednak tymi, za których się wydawali. Gdy w końcu zobaczył, z jaką czołobitnością przystępował do cara książę W., pod którym służył w Odesie i gdy usłyszał, że tenże go tytułuje Najjaśniejszym Panem, znikła wszelka niepewność. Aleksander tymczasem zdawał się zapomnieć o mniemanym cesarzu chińskim. Odwrócił się tyłem do niego, rozmawiając z królem pruskim i księciem W. Oranow znajdował się w najprzykrzejszem położeniu. Wysilał mózgownicę swą do ostateczności, ażeby znaleść jakikolwiek plan, któryby mu pozwolił wydobyć się z niemiłego położenia. Cóż miał jednak robić? Czyż miał się rzucić przed carem na kolana i błagać o przebaczenie jego? To nie wypadało, bo cóżby na to powiedziało całe otoczenie? Potajemnie umknąć też mu nie wypadało. Przybrał zatem postawę służbistą i oczekiwał chwili, w której się cesarzowi spodoba, pomyśleć też o jego nicości. W końcu po dziesięciu długich minutach, które Oranowowi wydawały się wiecznością, odwrócił się Aleksander do swego oficera i kazał sobie przedłożyć depesze. Równocześnie przemówił do niego:

— Byłbym prawie zapomniał, że cesarz Rosyi cesarzowi chińskiemu ma jeszcze dług do spłacenia. Życzy go sobie zatem widzieć w dniu dzisiajszym jako gościa.

Po tych słowach ujął ramię króla pruskiego i obaj oddalili się po złożeniu uprzejmego ukłonu owemu oficerowi, któremu w ten sposób spadł wielki ciężar z serca. Jeśli mu się jeszcze zdawało, że car mimo wszystkiego wziął mu żart z cesarzem chińskim za złe, to tę niepokojącą myśl spłoszył mu car z czoła przy uczcie, na którą się oczywiście stawił. Car upodobał sobie w otwartym, szczerym tym człowieku i otaczał go swą przyjaźnią jeszcze długie lata. Oranow zaś ze swej strony opowiadał nieraz o tym uciesznym szczególe w gronie swych krewnych i znajomych.

## NA BOŻE NARODZENIE.

Gdy o północy dzwon, ręką Anioła
Wzruszony, głosi z wieżycy kościoła,
Że obietnicom stało się już zadość:
Bóg się narodził! wszemu światu radość!

Wtedy na ludzkie plemię płyną z góry
Łaski promienie, a niebieskie chóry
Pieją: Hosanna! Pańskiej chwale gwoli
A pokój wieszczą człeku dobrej woli.

I ziemia cała, jakby odmłodzona,
Lżej i swobodniej wyciąga ramiona,
I każdy czuje, że z Wszechwładnej Woli
Szczęście pełniejsze i ból nie tak boli.

Człowiek jak dzieciak, gdy się do snu kładnie
Z myślą o »Gwiazdce«... co mu się tak ładnie
Śmiała z choinki strojnej w jabłka złote —
W sercu raj czuje, bardziej kocha cnotę.

Nawet ci biedni, którym los okrutny
Całą pieśń życia śpiewa na ton smutny,
Ci co brną ciągle przez nocne zawieje —
Ci beznadziejni znów mają nadzieję.

Więc niech ci człeku ufność w serce spłynie,
Z tej tajemnicy co się spełnia ninie:
Po dziewiętnastu upływie stuleci
Bóg się znów rodzi i »Gwiazdka« znów świeci!

# Pierwotne sposoby mierzenia czasu i dawne zegary.

(Dokończenie).

## II.

Pierwszym sztucznym zegarem była tak zwana klepsydra. Jest to narzędzie złożone jakby z dwóch naczyń równej wielkości w kształcie ostrokręgów, to jest niby lejki, wierzchołkami do siebie obróconych i spojonych. W wązkiej szyjce jaka się z tego połączenia tworzy, pozostawiony jest otwór maleńki na komunikacyę między naczyniami. Wierzchnie naczynie napełnione jest miałkim piaskiem, który się przez otwór powoli do dolnego naczynia przesypuje i w pewnym przeciągu czasu (np. w pół godziny lub w godzinę, co od wielkości zależy) całkiem je wypełnia. Gdy to nastąpi, przewrócić trzeba natychmiast klepsydrę na wierzchnie dno, a z napełnionej dopiero co połowy zacznie się znowu tak samo piasek przesypywać. Na klepsydrach, koniecznie przezroczystych, robi się podziałka, po której ubywający piasek drobniejsze przeciągi czasu wskazuje. Zamiast piasku używano do klepsyder i wody. I dziś jeszcze klepsydry na okrętach bywają do niektórych potrzeb przydatne. Ale w ogólności nie mogą te narzędzia być dokładnemi; raz dla owego przewracania z jednego dnia na drugi, powtóre, że niepodobna zabezpieczyć piasku od wilgoci, skutkiem której piasek się zlepia i jakby pęcznieje. Zresztą potrzebując ustawicznie obecności człowieka i pilnej uwagi dla niestracenia chwili w której się już piasek sypać przestaje, jest klepsydra przez to samo bardzo w użyciu niedogodną i ograniczoną. Zastąpienie piasku przez wodę nie wiele też pomagało, bo woda niejednostajnie przecieka z przyczyny niejednostajności ciśnienia swego na otwór: dopóki jej pełno, ciśnie mocniej na otwór i szybko kapie, potem zaś coraz to wolniej. Epoka wynalezienia klepsydry nie jest wiadomą; wiemy atoli iż narzędzie to było znane ludom starożytnym na długi czas przed Narodzeniem Chrystusa. Zresztą próbowali starożytni budować zegary, do których poruszania używali wody, w ten sposób jak to na wodnych młynach dziś widzimy, z tą różnicą, że nie była to woda bieżąca. Ale za pośrednictwem koła przez wodę spadającą obracanego, wprowadzano w ruch kółka zębate, a od tych znowu poruszały się skazówki, figurki i różne przyozdobienia. Ma się rozumieć, że to nie wiele pomagało do regularności: było to zawsze to samo co i prosta klepsydra, choć połączone z bardzo nieraz wymyślnym mechanizmem, gdzie główne przyrządy ruch ułatwiające, jak dźwignia, blok i koło zębate w najrozmaitszych posługiwały kombinacyach. Wynalezienie tych pierwszych czynników mechanicznych dawniejszem jest niż ludzkie podania zasiągnąć mogą, a wczesne onych stósowanie do budowy zegarów wykazuje, że sztuka zegarmistrzowska, będąc co do celu i przedmiotu swego, to jest mierzenia czasu, w związku z astronomią, jest znowu co do swych środków i sposobów ściśle połączona z nauką mechaniki.

## III.

Stanowczym i znakomitym postępem w budowaniu zegarów było użycie ciężarów czyli wagi, to jest, że koła zębate składające zegar, a obrotami swemi godziny i minuty oznaczające, otrzymały ruch nie od wody, lecz skutkiem cię-

żaru. Ciężar zawieszał się na sznurze okręconym około walca lub bloku, który to walec, na osi swej ruchomy, obracał początek dzisiejszych ściennych zegarów. Kto pierwszy wpadł na tę myśl, żeby użyć ciążenia jako siłę poruszającą cały




**WŚRÓD SROGIEJ ZIMY.** (Obacz objaśnienia rycin na str. 384).

się początkowo wraz z jednem kołem zegarowem, na tejże osi łącznie z nim osadzonem. Był to więc jakby pierwszy mechanizm zegarowy, z pewnością nie jest wiadome. Po większej części przypisują to zakonnikowi jednemu fran-

cuzkiemu Gerbertowi, który później został Papieżem pod imieniem Sylwestra II-go. Żył on w drugiej połowie dziesiątego wieku po Chrystusie, a więc lat temu 1000 przeszło. Pokazuje się jak to nieskoro wynalazki ludziom przychodziły: kiedy już za czasów Chrystusa Pana robiono w Rzymie zegary, które się poruszały za pomocą wody na koło spadającej, a dopiero w tysiąc lat potem domyślono się, że dogodniej będzie ciężaru do tego użyć. Ale nie dosyć na tem: bo jeżeli ruch nadany przez spadanie wody na koło z łopatkami jak we młynie wodnym, nie może mieć dostatecznej regularności jaka jest potrzebna do mierzenia czasu, to i ciężar także w spadaniu swojem nie jest zupełnie jednostajny, a jeszcze i ta była trudność daleko większa, że ciężar, skoro go puścić na sznurze, pociąga odrazu maszyneryę: sznur się około walca szybko odwija, czasem kółka zegarowe jeszcze szybciej się kręcą, ciężar spada na dół i w minutę cały ruch ustaje. Trzeba więc było o dwóch rzeczach pomyśleć: najprzód żeby umiarkować tę szybkość spadania i otrzymać powolne spuszczanie się ciężaru; powtóre, żeby łatwo i prędko ciężar ten wciągnąć do góry, skoro już zupełnie opadnie, aby zegar mógł iść na nowo, czyli nakręcić zegar, jak się zwykle mówi, i to tak nakręcić, iżby samej maszyneryi zegarowej, to jest kółek zębatych, nie ruszać. Otóż do nakręcania wymyślono taki mechanizm. Nasamprzód walec czyli blok z okręconym sznurem oddzielony został od zegarowego koła, tak, że będąc na jednej z niem osi i tuż przy nim, mógł się oddzielnie obracać. Nakręcanie więc odbywało się bez poruszania koła; żeby zaś koło mogło następnie ruch otrzymywać, dla tego po tej stronie bloku która przylegała do koła i o nie ocierała się swoją płaszczyzną, porobione zostały dokoła zęby skośne jak u piły, a zaś na płaszczyźnie koła zegarowego do bloku, a zatem i do tychże zębów skośnych przylegającej, przyszrubowana była tuż obok płaska sztuczka przyrznięta tak, żeby mogła w te zęby wchodzić. Przez tę więc sztuczkę, czyli zahaczkę w zębach tkwiącą, pociągane było i całe koło, skoro po nakręceniu, blok lub walec z owemi piłowatemi zębami obracać się zaczął skutkiem ciążenia wagi. Ponieważ zęby osadzone na bloku lub walcu wyrznięte były ukośnie w tęż samą stronę jak waga ciągnęła, przeto w chwili nakręcania, zęby rzeczone w przeciwnym obracając się kierunku, mogły łatwo jeden po drugim zahaczkę ową podnosić, która znowu za każdem podniesieniem w następne zęby wpadała, gdyż była popychana przez sprężynkę, tuż do płaszczyzny koła zegarowego przyszrubowaną.

Dla umiarkowania siły ciągnącego na dół ciężaru, oraz dla regularności czyli jednostajności w tem ciągnieniu a więc i w całym obrocie kół zegarowych mamy dziś wahadła w ściennych, a sprężyny w kieszonkowych zegarkach; ale do tych doskonałych wynalazków nie prędko przyszło; wahadła do zegarów przystósował po raz pierwszy uczony holender Hugens w drugiej połowie XVII-go wieku. Przedtem zaś inaczej sobie radzono. Zawieszano przy zegarze rodzaj wahacza, podobnego do tych jakie się dziś w machinach parowych używają. Była to sztabka osadzona w pośrodku na pręcie; na dolnym zaś końcu pręta znajdował się trzpień, na którym tenże pręt mógł się luźnie w obie strony kręcić, a z nim razem i owa sztabka też same poruszenia odbywała. Na sztabce, w równej odległości od środka, czyli od punktu przytwierdzenia do pręta, wisiały dwa ciężary, które można było aż na same końce sztabki odsuwać, albo do środka przysuwać. Na samym pręcie sterczały w podłuż dwa skrzydełka, jedno znacznie niżej od drugiego, ale nie w prostej linii, tylko na ukos. Otóż dla otrzymania wpływu tego przyrządu na ruch kół zegarowych, osadzało się na osi, prostopadle do prętu wahacza skierowanej i obok głównego koła zegarowego, również w prostopadłym doń kierunku położonej, osobne koło, nie płaskie, lecz

# Zaproszenie do przedpłaty!

Niewielką jest liczba czytelników, popierających materyalnie pismo nasze. Mimo to pragniemy wydawać „Światło“ i w roku przyszłym w dotychczasowych warunkach.

Popierajcie „Światło“, ponieważ ono z świadomością rzeczy dąży do tego, ażeby uzupełnić to, czego pismo polityczne dać człowiekowi niezdolne.

Pismo polityczne niezdolne zaś dać człowiekowi tej strawy ducha, jaka mu jest potrzebną, ażeby umysł pokrzepić, zakres wiadomości rozszerzyć, serce rozgrzać, istotę całą człowieka w wyższym stopniu uszlachetnić.

Pismo polityczne jest na to, ażeby wśród wiru wzajemnych walk namiętności ludzkich bronić narodowości i języka i rozpatrywać się w rozwoju politycznym i społecznym innych narodów. To rozpatrywanie się w tym rozwoju jest drogowskazem dla społeczeństw, a więc i naszego, jak kroczyć z biegiem czasu, ażeby nie pozostać w tyle i nie pozwolić się zdławić przez inne narody.

Pismo polityczne zanadto jest jednak pochłonięte chwilą bieżącą, ażeby zgłębiać życie narodowe w rozwoju tychże.

Dla przetrawiania życzeń i dążeń społeczeństw, dla kierowania ruchem umysłowym społeczeństwa są inne pisma. Niepoślednie miejsce zajmują między niemi pisma beletrystyczne, naukowe. Do tych zalicza się także „Światło“.

Zamieszczamy w „Świetle“ wszystko, co czytelnika zająć może, a więc powieści, wesołe opowiadania, opisy z życia ludów, opisy przyrody, opisy krajów, życiorysy sławnych mężów, wszystko zaś zmierza do tego, ażeby człowieka oświecać, ażeby na przykładach życia innych narodów budzić miłość do wszystkiego, co swojskie, ażeby dalej przez opisy krajów budzić miłość do ziemi ojczystej. „Światło“ stara się zaś o to, ażeby wszystko było zajmujące, ażeby więc nietylko człowiek się oświecił, ale ażeby zarazem z zadowoleniem rozczytywał się we wszystkiem.

Starajcie się zatem szanowni czytelnicy o jak najszersze rozpowszechnianie „Światła“. Niemcy mają kilka tysięcy pism beletrystycznych, każde z nich liczy tysiące czytelników, dla czego byśmy nie mieli utrzymać „Światła“, nieoledwie jedynego podobnego pisma, wychodzącego pod zaborem pruskim.

Każdemu chętnie w jego dobrych chęciach poparcia „Światła“ przyjdziemy z pomocą, przesyłając mu na życzenie numer „Światła“ dla rozdania pomiędzy nieczytających.

„Światło“ kosztować będzie i nadal **1 markę** na kwartał.

Poszukujemy uczciwych ludzi, którzyby rozpowszechnieniem jego zająć się pragnęli a chętnie im w tem dopomożemy przez to, że im poślemy parę numerów dla rozdzielenia.

**REDAKCYA „ŚWIATŁA.“**

## ŚWIATŁO.

Ważny bardzo wpływ na rośliny wywiera światło; im więcej jaki kwiat wystawiony jest na promienie słońca, tem świetniejszą ma barwę.

Tak samo u zwierząt i ludzi, rozwój ich, zmysł wzroku, zabarwienie skóry zależą głównie od światła. Ludzie pozbawieni tego dobroczynnego czynnika, jak więźniowie, górnicy, mają ciało miękkie, białe i obwisłe, oddech trudniejszy, są zazwyczaj usposobienia limfatycznego, skłonni do skrofuł i suchot. Światło pobudza apetyt, przyspiesza krążenie krwi, wpływa korzystnie na rozwój mięśni i kości. Przykładem mieszkańcy okolic podbiegunowych, którzy pod względem wzrostu i kształtności stoją o wiele niżej od ludzi zamieszkujących strefy umiarkowane.

Niemniej ważne jest działanie światła na zmysł wzroku. Tęczówka, ta delikatna błonka, opatrzona w środku otworem — źrenicą, przepuszcza tyle tylko światła, ile go potrzebuje siatkówka, która przyjmuje wrażenia z zewnątrz. Dopóki światło jest normalne, źrenica spełnia to, co do niej należy i chroni siatkówkę od zbyt gwałtownego lub przedłużonego działania promieni; jeżeli jednak natężenie światła się zwiększa, czy to w skutek szczególnych okoliczności, czy też przez odbicie od płaszczyzny śniegu, białego muru lub piasku, źrenica się męczy i rozdraźnia a oko łzami się zapełnia.

W takich razach okulary ze szkła szafirowego lub okopconego, tłumiąc światło, zabezpieczają oczy od zbytniego natężenia promieni słonecznych. Nieraz się zdarzało, że ludzie tracili wzrok w skutek silnych błyskawic. Pasterze spędzający lato na wierzchołkach Alp podlegają bardzo często chorobom oczu, bo wystawieni są na zbyt mocne światło; temu też należy przypisać katarakty tak pospolite między wieśniakami.

Najwięcej męczy światło białe. Tyran Syrakuzy, Dyonizy, więźniów długo trzymanych w ciemności, kazał odrazu wprowadzać do izb wystawionych na słońce i pomalowanych na biało. To wystarczało do oślepienia ich. Gwał-

towne światło wywołuje ból głowy, zawrót, rozstrój nerwowy, u dzieci zaś nieraz jest przyczyną kurczy lub wymiotów.

Brak światła wywołuje wręcz przeciwne objawy. Waryaci zamykani w ciemnych pokojach uspakajali się często zupełnie. Przyzwyczaiwszy się, można nawet widzieć wśród ciemności. Cesarz Tyberyusz w nocy doskonale rozróżniał ludzi i przedmioty; więźniowie pozbawieni światła dziennego, widzą dobrze pomimo mroku; siatkówka i źrenica z czasem mogą nawyknąć do ciemności.

Ciemność usposabia do snu i smutku; w posępne dni jesienne i zimowe człowiek jest mniej wesoły, niż podczas lata i wiosny, słońce bowiem ożywia i rozwesela.

Największy wpływ światło wywiera na skórę. Im więcej zbliżamy się do równika, gdzie działanie słońca jest najdłuższe i najsilniejsze, tem ciemniejszą staje się barwa skóry ludzkiej i z białej przechodzi w brunatną, a nawet w czarną. Wieśniacy, którzy większą część życia spędzają na powietrzu, wystawieni na działanie promieni słonecznych, mają zawsze szyję, ręce i twarz ogorzałe, kiedy mieszkańcy miast odznaczają się zazwyczaj białą i bladą cerą. U wszystkich zwierząt sierść na grzbiecie jest ciemniejszą niż na brzuchu. Na zakończenie przytoczymy przysłowie włoskie, które utrzymuje, że „wszystkie choroby powstają w cieniu, a leczą się na słońcu".

## Wietrzenie sypialnego pokoju.

Napisał Ks. Kneipp.

Kto chce żyć rozumnie, ten stara się przedewszystkiem wietrzyć dobrze swój sypialny pokój. Latem podczas upału nawet trwożliwi otwierają okno w sypialnym pokoju, skoro zaś nastaną jesienne wiatry a upały latowe ustępują, wszyscy jak najszczelniej okna zamykają, mówiąc przytem, iż zimne jesienne powietrze szkodzi i wiele rozmaitych chorób sprowadza. Na przesąd ten odpowiadam: czyste powietrze jest w każdej porze roku najlepsze, a jeżeli powietrze to test szkodliwem, pochodzi to tylko ztąd, iż zmiana zimna i ciepła zbyt nagle przychodzi, wywołując tym sposobem przeziębienie. Jeśli po ciepłym dniu jesiennym przyjdzie noc zimna, wtedy zmiana ta łatwo może spowodować silny katar. Dzieje się to także i na wiosnę, przy nagłej zmianie temperatury. Co się tyczy powietrza w nocy, to i podczas tejże trzeba zostawić otwór, przez który świeże powietrze wchodzić musi. Trzeba tylko uważać, aby zimny wiatr do sypialnego pokoju nie wchodził, ten bowiem może złe sprowadzić skutki. Trzeba więc starać się, aby zawsze świeże, ale nie ostre powietrze do pokoju wchodziło. Powinien się więc każdy z latowej do jesiennej temperatury powoli przyzwyczajać, a nie będzie mu ona szkodziła tak samo jak wiosenne i latowe powietrze.

Nabawiwszy się jednak silnego kataru tak, iż migdały nabrzmiały, a głos ochrypł, ponieważ zimny wiatr do pokoju dochodził, można go się równie szybko pozbyć, jak go się nabawiło; oddychając zimnem powietrzem zaziębiła się krtań i podniebienie, oddech został wstrzymany i spowodował napuchnięcie; trzeba więc utworzyć nowe ciepło celem wyparcia zimna. Mnie się raz tak samo zdarzyło W moim sypialnym pokoju miałem całe okno otwarte; podczas gdy spałem w najlepsze, przyszedł niespodzianie wiatr, obudziwszy się miałem nabrzmiałe migdały i głos ochrypły, na nieszczęście było to jeszcze w niedzielę, gdzie miałem mieć kazanie. Niezwłocznie wziąłem zimnej wody, umaczałem w niej chustkę i owinąłem nią dobrze, lecz nie za silnie, gardło, na to owiązałem wełniany szal, wkrótce chustka się rozgrzała, więc umaczałem ją znowu, owijając raz jeszcze. W przeciągu dwóch godzin owijałem gardło pięć razy, tak że złe skutki zimnego jesiennego wiatru ustąpiły. W przyszłości starałem się zawsze o otwór w sypialnym pokoju, aby mi jednak wiatr w twarz nie wiał. Tym sposobem zagrodziłem złemu.

## Prawdziwa mądrość.

Tales z Miletu, jeden z siedmiu mędrców w Grecyi z wielką przytomnością umysłu odpowiadał szybko na każde pytanie. Przytaczamy tu kilka z takich odpowiedzi.

Zapytany. Co jest najstarszem?

Odpowiedział: Bóg, ponieważ był od wieków.

Co jest najpiękniejszem?

— Świat, ponieważ jest dziełem Boga.

Co jest najobszerniejszem?

— Przestrzeń, ponieważ wszystko obejmuje.

Co jest najtrwalszem?

— Nadzieja, bo choć wszystko utracimy, ona nam pozostaje.

Co jest najlepszem?

— Cnota, bo bez niej nie można ździałać nic dobrego.

Co jest najszybszem?

— Myśl, bo w mgnieniu oka przebiega świat cały.

Co jest najsilniejszem?

— Konieczność, bo pokonywa wszelkie przeszkody.

Co najłatwiejszem?

— Dawać drugim rady.

Co najtrudniejszem?

— Znać siebie samego.

Co najmędrszem?

— Czas, bo uczy wszystkiego i wszystko dokonywa.

## Praktyczne rady.

— **Słabość nerwową** można uleczyć środkiem bardzo prostym. Skorupy od jaj zwykle się wyrzuca jako na nic nie przydatne. A jednak są one pożyteczne, bo zawierają w sobie wapno fosforowo-kwaskowe. To wapno jest ową materyą, z której przeważnie składają się kości nasze, a bez której nie można być zdrowym i silnym. Więc przy słabości nerwów, wycieńczeniu, w ogóle przy braku wyżywienia, przy blednicy, skrofułach, podagrze, reumatyzmie jest owo wapno fosforowo- kwaskowe skorup od jaj najlepszym środkiem siły. W tym celu suszy się skorupy dobrze w piecu chlebowym i tłucze dobrze w moździerzu, lub miele się miałko na młynku od kawy. Poczem bierze się trzy razy na dzień (rano, w południe i na wieczór) pół do całej łyżeczki od kawy. Albo odwilża się proszek kilkoma kroplami wody i wziąwszy do ust, zapija się wodą, albo mięsza go się zaraz z mlekiem i tak go się używa. I przy wodnej puchlinie można polecić ten środek.

— **Hygiena oczu.** Przy czytaniu lub robocie trzeba zawsze siedzieć prosto, gdyż postawa leżąca lub pochyła ujemnie na wzrok wpływa. Papier i książka muszą być oddalone od oczu najmniej na 15 cali; światło słoneczne nigdy nie powinno padać na kartę, którą się czyta, lub na papier, na którym się pisze. Zbytniego blasku światła starannie unikać należy. Po każdej chorobie trzeba oszczędzać oczu. Nogi muszą być zawsze ciepło utrzymane, wpływa to bowiem na wzrok korzystnie. Światło powinno być z lewej strony, nigdy zaś z prawej lub z tyłu; wszelka praca o zmroku stanowczo musi być wzbroniona. Najmniej trzeba sześć godzin snu, ażeby oczy mogły wypocząć.

— **Nieprzemakalność** skórzanego obuwia osięgnąć można w ten sposób, iż bierze się równe części oleju siemiennego i tłuszczu z nóżek skopowych i gotuje razem. Skoro obuwie obeschnie z błota dostatecznie oraz z kurzu jest oczyszczonem, smaruje się je rzeczoną mięszaniną mocno przy ogniu, tak długo, dopóki smarowidłem dobrze się nie nasycą. Po 2—3 dniach używania obuwia — smarowanie w ten sam sposób co wprzód się powtarza, oczyściwszy obuwie wprzód z brudu na sucho. Prócz tego można także smarować obuwie mięszaniną tą na nogach przed wyjściem.

## Rozmaitości.

* **Życie ludzkie** z punktu widzenia statystyki przedstawia się jak następuje: człowiek, który przeżył lat 50, pracuje średnio 6500 dni, śpi przez 6000 nocy, bawi się 4000 dni i nocy. Człowiek ten przechodzi średnio 19,000 kilometrów, jada 36,000 razy, przyczem zjada 7000 kilogramów mięsa, 1800 kilogramów ryb, jaj, jarzyn, wypija 4200 litrów wszelakich napojów. Statystyka milczy jedynie o tem, ile człowiek ten narobił... niedorzeczności.

* **Kiedy przyswojono koty?** Lubo Egipcyanie nie posiadali takiego talentu obłaskawiania dzikich zwierząt, jak Indyanie i Peruwiańczycy, nie ulega jednak wątpliwości, że im zawdzięczamy przyswojenie domowego kota. Zdaniem uczonych niemieckich, pochodził on od stepowego kota nubijskiego, ale nie wszyscy na to się godzą, przypuszczając, że jest to raczej przyswojony gatunek dzikiego kota. W Grecyi zwierzę to było przez długi czas nieznane, pierwszy Arystoteles o nim wspomina. W Skandynawii znaleziono ślady zwierząt domowych, które z początku wzięto za koty, tymczasem były to przyswojone łasice. Doktor Neville zbadawszy olbrzymie cmentarzysko świętych kotów w Busbaste, z epoki czwartej dynastyi królów egipskich, doszedł do przekonania, że były one spalone po śmierci. Nie wszystkie jednak grzebano w ten sposób, gdyż znaleziono także wiele mumii kocich. W Busbaste wznosiła się niegdyś świątynia bogini kotów, Boste. W Beni-Hassan odkryto tak wielkie pokłady zwłok kocich, że Arabowie mielą je na młynach i sprzedają jako nawóz. Doktor Reisz zdołał ocalić niektóre mumie i podarował je do muzeum, założonego przy szkole rólniczej w Berlinie. Większa część tych mumii zawiera tylko przednią część ciała owiniętą płóciennymi bandażami, dotąd jednakże nikt nie umiał objaśnić znaczenia tego szczególnego zwyczaju. Jedne z tych mumii musiały być bardzo młode, gdyż miały jeszcze zęby mleczne, inne doszły do późnej starości i straciły większą część zębów; wszystkie odznaczają się wełnistą sierścią i długiemi uszami, których się nigdy nie widzi u dzikiego kota. To wszystko dowodzi, że praojcami naszego kota domowego były koty ze stepów nubijskich. Kot azyatycki, od niepamiętnych czasów przyswojony przez Chińczyków, odrębne ma pochodzenie, a nasz kot europejski powstał z krzyżowania tych dwóch ras z dzikim kotem. W Busbaste znaleziono znaczną ilość szkieletów ichneumonów pomieszanych z kociemi, kiedy tymczasem w Beni-Hassan są one nader rzadkie. Stanowiłoby to dowód, że początkowo ichneumon był u Egipcyan zwierzęciem domowem, które tępiło szczury i myszy, a potem dopiero został zastąpiony przez kota.

* **Baśń o drzewach.** Starowłoska legenda opowiada, jak zachowywały się rozmaite drzewa w chwili skonu Zbawiciela na krzyżu. Cała przyroda pogrążyła się wówczas w smutku i w przerażeniu, z wyjątkiem drzew i krzewów, które rozmawiały między sobą cichym szmerem.

Sosna rzekła: On umarł, więc na znak żałoby przywdzieję ciemną barwę i szukać będę miejsc odludnych.

Winna latarośl z Sorrento szepnęła: On umarł, więc z żalu zczernieją moje jagody, z których spłynie w tłoczni łza Chrystusa.

Wierzba babilońska na wieść o zgonie Chrystusa westchnęła: On umarł. Smętne me gałęzie

pochylę ku wodom Eufratu i płakać będę łzami jutrzenki.

Cedr z Karmelu jęknął: On umarł. Odtąd ocieniać będę tylko groby i ptastwo słać nie będzie swych gniazd na mych gałęziach.

Cis zawołał: On umarł. Teraz będę rósł tylko na cmentarzach. Pszczoła nie dotknie mego kwiatu zatrutego. Ptak nie siądzie na mych konarach, a ktokolwiekby szukał pod mym cieniem spoczynku, nabawi się febry.

Kwiat fryzu szemrał: On umarł, więc na zawsze pokryję fioletem mój złocisty kielich na znak wiecznej żałoby.

Tylko osina pozostała niewzruszona: Cóż mię to obchodzi? — rzekła — On dał życie za grzeszników, a ja jestem bez skazy. Zostanę jaką byłam.

I dlatego liście osowe drżą bezustannie.

* **Czem są sny?** Sny nie są niczem innem, jak tylko skutkiem myślenia, gdyż umysł nasz pracuje nawet wtedy gdy śpimy.

W chwili usypiania, wszystkie ważniejsze organa życiowe również usypiają a drażliwość systemu nerwowego znacznie słabnie. Oblicze człowieka zarumienia się, z mózgu zaś krew zwykle ustępuje.

U człowieka w czasie snu zmniejsza się liczba uderzenia pulsu przeciętnie o piątą część.

W czasie twardego snu człowiek nie śni. Senne marzenia wymagają bowiem pewnej, chociażby słabej czynności umysłu, możności przypominania sobie ludzi albo rzeczy, o którychby śpiący człowiek mógł myśleć. Podczas twardego snu usypia także i umysł zupełnie, a człowiek nie myśli.

Przekonano się dalej, że ludzie, którzy mają umysł spokojny a temperament umiarkowany, śnią rzadziej niż rozdraźnieni, nerwowi.

Łatwo zgadnąć, czy człowiek śpiący ma sen miły, czy nieprzyjemny, gdyż wrażenia snu odbijają się na jego twarzy.

Że śnią się nam często rzeczy niedorzeczne pochodzi to ztąd, iż rozum nasz w czasie snu słabnie; nie możemy zatem marzeń naszych kontrolować i oddalać od siebie myśli nierozumnych, obrazów niemożebnych, czyli nie możemy rozsądnie śnić, a właściwie rozsądnie myśleć.

Stwierdzono, że sny wywierają nawet pewien wpływ na nasze ciało.

## ŻARTY.

Dwóch pijaków wyszło o północy z karczmy. Księżyc w pełni przyświecał.

— Kumie! — pyta się jeden drugiego, — co to świeci, miesiąc, czy słońce?

— Nie wiem, — odpowiada drugi, — bo ja nie tutejszy.

---

Żona: Idź, a nie siedź długo, bo chcę drzwi wcześnie zamknąć.

Mąż: Nie bój się, abyś ją tylko wcześnie zrana otworzyła.

---

Maciej: Wiecie, Icku, że późno dziś wstałem, i ledwo z łóżka się podźwignąłem, tak mi czegoś ciężko i słabo było.

Icek: Ja wczoraj to wiedziałem, że Wam będzie ciężko i słabo.

Maciej: A to jak?

Icek: Boście wczoraj tak wcześnie wyszli z karczmy, to ja od razu wiedział, że wam dziś coś będzie brakowało.

---

Pewien podróżny opisujący swoje rozbicie, mówił: „Przybywszy do nieznajomego kraju przez kilkanaście godzin chodząc tu i ówdzie, najmniejszego śladu mieszkania ludzi nie dostrzegłem. Nareszcie z wielkiem zadowoleniem zobaczyłem nieszczęśliwego wiszącego na szubienicy. „Dzięki niebu,“ zawołałem, „teraz wiem, że się znajduję w kraju ucywilizowanym!“



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.